

# ZACZYNAM MÓJ PAMIĘTNIK

Dnia 27 XII 1945 r.

W 1939 r. wróciłam z Zakopanego do Warszawy. Wtedy zaczęła się okupacja niemiecka. Miałam wtedy trzy lata, a teraz mam dziewięć. Na początku mieszkałam z rodzicami na Saskiej Kępie, na ulicy Jakubowskiej 16. Miałam tam swój pokój, który był mały, ale śliczny. Poznałam, mając pięć lat, bardzo miłą koleżankę, którą bardzo lubię, a nawet kocham. Ta koleżanka nazywa się Iza Szumiel. Miała ona wtedy pięć i pół roku. Jest ona starsza ode mnie przeszło pół roku. Potem mieszkałam z Tatuńkiem i z Mamuską też na ul. Jakubowskiej, ale pod nr 14 m. 2. Ponieważ była to, jak już wspominałam, okupacja niemiecka, rodzice nie posyłali mnie do szkoły i mieliśmy w domu wychowawczynię i nauczycielkę zarazem w jednej osobie. Rano na 9 godzinę przychodziła do mnie Iza i jeden chłopiec Andrzej. Mieliśmy lekcje do godziny 12. Ja i Iza uczyłyśmy się dwóch języków (teraz się uczymy trzech), a mianowicie francuskiego i niemieckiego. Niemieckiego uczyła nas nasza „nauczycielko-wychowawczyni”. Francuskiego uczyła nas „za wytworna”, według nas, starsza pani, którą przezywałyśmy „madamcią”. Naszą „wychowawczynio-nauczycielkę” Iza i ja przezywałyśmy „Baba”. Właściwie nasza „wychowawczynio-nauczycielka” miała na imię Nina i była bardzo podobna do „czarnej wrony”, jak ją nazywał nasz sąsiad. Skończyłyśmy z „Babą” oddział drugi. O godzinie czwartej miałyśmy ja i Iza parę razy w tygodniu lekcję muzyki. Na pewne moje urodziny, kiedy skończyłam sześć lat, dostałam ślicznego pieska (suczkę) i prawdziwy, śliczny zegarek, ale niestety tego samego dnia poszłam do mojej kochanej Cioci i zgubiłam go. Jedyną pociechą był pies. (To co teraz piszę, a mianowicie o psie i zegarku, było jeszcze przed pobytem u nas „Baby”. Potem, jak Rosjanie zaczęli bombardować Warszawę, wyjechałam na wieś, a gdy wróciłam, samochód po kilku dniach przejechał Miki, tak się nazywała owa suczka). Zegarek się znalazł w dziwny sposób: suczka, którą miała moja Ciocia, znalazła w łazience mój zegarek i przyniosła Cioci.

{Wracam do czasu pobytu u nas „Baby”}. Jak była u nas „Baba”, Iza i ja wymyśliłyśmy śliczną zabawę w „Duszki”. „Duszki” miały swoją królową Rozalię i dużo wrogów. I w ogóle „Duszki” były naszą tajemnicą. Pewnego razu byliśmy (to znaczy Mama, Tata i ja) w naszej kawiarni i jedliśmy obiad. Potem tata poszedł do pracy, a ja i mama poszłyśmy do naszych znajomych. O piątej godzinie wieczorem wybuchło powstanie przeciw Niemcom. (Babcia Brońcia i Baba były z nami w Warszawie, w Śródmieściu, ale kochany Dziadek został na Saskiej Kępie). Pod koniec powstania Niemcy wysiedlali Polaków do różnych obozów. Nas wywieźli do obozu d[o] S[ank]t P[ö]lten. W obozie było źle. Mamusia, Tatuś i inni Polacy pracowali w fabryce. Potem Tatusia Niemcy wywieźli na okopy, a ja zachorowałam na szkarlatynę. Potem znowu byliśmy razem (to jest mama, tata i ja), ale nie wiedzieliśmy nic o Babciach, Cioci i Dziadku, których bardzo kocham. W obozie zapoznałam dwoje polskich dzieci, chłopca i dziewczynkę, których bardzo, bardzo kocham. Gdy wróciłam z obozu, znaleźliśmy się dosłownie wszyscy, tzn. cała rodzina i Iza. Izy ojciec wrócił z obozu trochę później niż my. Dalej przyjaźnię się bardzo z Izą. Gdy wróciliśmy z obozu, okazało się, że nasze mieszkanie jest zburzone. Cztery miesiące mieszkaliśmy w małym pokoiczku u Dziadunia. Teraz mam nawet już swój pokój, który jest ślicznie urządzone na niebiesko, na kolor kości słoniowej i na różowo. Iza i ja chodzimy do szkoły, do czwartego oddziału i jesteśmy najlepszymi uczennicami w naszej klasie. Uczymy się teraz trzech języków: francuskiego, angielskiego i niemieckiego. Teraz będę pisać nieco obrazowej, bo właśnie dzisiaj zaczęłam pisać mój pamiętnik i musiałam streścić szereg lat, a teraz będę pisała codziennie wieczorem przeżycia z całego dnia. Mam na imię Agnieszka, a na nazwisko Osiecka.

18 V 1949, środa

Dzisiaj w szkole przeważała matematyka. Nie cierpię tego przedmiotu. Jedyną moją nadzieją było to, że dzisiaj po południu gramy w siatkę. Jak na złość, zaczął padać deszcz i obawiałam się, że nie będziemy mogli grać. Na szczęście wypogodziło się, Janek R[ajski] przyszedł już o 17-tej i graliśmy. Było bardzo miło, szczególnie

ze względu na moją świeżo upieczoną sympatię Bohusia Reszkę. Jutro w szkole nie będzie nic ciekawego, ale za to w piątek klasówka i zarazem Mamusi urodziny. Mogłam dzisiaj otrzymać Bohusia fotografię, ale nie skorzystałam z okazji i teraz żałuję. W niedzielę wybieram się z Małym Jurkiem na rowery. W poniedziałek będziemy grali w siatkę o g. 9-tej. Nic na jutro nie umiem z przyrody, ale jakoś to przeżyję.

## 19 V 1949, czwartek

Pierwsze dwie lekcje spędziłyśmy dzisiaj na boisku szkolnym. Potem było bardzo nudno; miałyśmy tylko trochę rozrywki, gdyż na angielskim urządziłyśmy imieniny Pani G[rabczak]. Kupuję dzisiaj kwiaty dla Mamy. Tatus grał wczoraj na balu we francuskiej ambasadzie. Wrócił bardzo zadowolony, bo zabawy te są na wysokim poziomie towarzyskim i takie „przedwojenne”.

Wieczorem dałam Mamusi prezenty, nie mogłam wytrzymać do jutra. Źle na tym wyszłam, bo przyszła znajoma Mamusi, Pani Tola, i długo z Mamą rozmawiała, a ja nie miałam nawet czasu na chwilę rozmowy i musiałam się położyć, i to w bardzo złym humorze.

## 24 VI 1949, piątek

Nie pisałam już miesiąc! A przez ten miesiąc bardzo dużo się wydarzyło. Do jakiegoś 6-ego VI wspaniale się bawiłam. Miałam śliczną pogodę i dzień w dzień chodziłam na plażę i grałam w siatkę. Bohuś już mnie przestał interesować. Polubiłam teraz chodzić z Jankiem R[ajskim] i Jurkiem Małym. Czuję żywą sympatię do Małego. 14 VI rozbił on sobie kolano, gdy skakał do tramwaju, i musiał jechać do szpitala. Bardzo głęboko to odczułam. Od tego czasu wszystko zaczęło się psuć, nawet pogoda. Oprócz Ireny, która przychodzi raz na jakiś czas, zaczęła przychodzić Barbara P[awlak]. Najgorsze jednak, że i Majka C., a jej bardzo nie lubię. 23 VI grałam w meczu o mistrzostwo szkoły (mamy III miejsce). Tego dnia wrócił ze szpitala Jurek i przyszli po mnie z Jankiem. Byłam z tego bardzo dumna wobec [!] koleżanek. Powoli się jakoś wszystko poprawia. Wczoraj byliśmy we trójkę (Jurek, Janek i ja) na wiankach. Wróciłam o 22<sup>30</sup>, a nie o 22-ej i Mamusia była bardzo ze mnie niezadowolona. Mnie zaś przykro było wcześniej wracać, gdy takie małe dziewczynki jak Dziunia itd. poprzychodziły dopiero o 22-ej. Najważniejsze jest to, że układa się wszystko w partii i bardzo się cieszę, że Jurek wrócił.

Lekcje w szkole właściwie się już skończyły. Z matematyki dostałam spodziewaną dwójkę, z wypracowania z polskiego, z *Szyfowych prac*, piątkę.

## 1 VII 1949, piątek

Dzisiaj o 22<sup>40</sup> wyjeżdżam do Karpacza. Pociąg mam tylko do Jeleniej Góry, dalej zaś autobus. Wczoraj, po deszczu i błocie, zaprowadziłam rower na Dworzec Główny. Dzisiaj jest piękna pogoda. Nawet się jej nie spodziewałam. O 14-tej mamy grać w siatkę. Będzie to taka trochę pożegnalna partia. Chciałabym, żeby się udała, to wyjadę z miłymi wspomnieniami. Jeszcze przed południem muszę jechać do Warszawy po różne sprawunki i bilety kolejowe. Teraz jeszcze siedzę w domu, bo jest dopiero 9<sup>30</sup> i tatuś jeszcze śpi.

Cieszę się, że lekcje w szkole już się skończyły. Świadectwo moje nie było takie, jakiego się spodziewałam, ale cóż, „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”. Nasza polonistka, którą bardzo lubiłam i jeszcze ją lubię, postawiła mi czwórkę z polskiego. Cały czas przepowiadała mi, że mam niebywały talent, że powinnam się kształcić itd., itp., a teraz... Czulałam, że to jest niesprawiedliwe, było mi bardzo przykro i oblałam to gorzkimi łzami.

Jeśli chodzi o kolegów z siatkówki, to Bohuś przestał mnie interesować. Sympatią moją stał się Mały. Najczęściej zresztą chodzę z nim i z Jankiem R[ajskim].

## 31 VII, niedziela

Wczoraj po południu byliśmy w Karpaczu u fotografa po zdjęcia. Wypadły bardzo ładnie. Jedno z nich dałam Zdzisławowi K., naszemu instruktorowi kulturalno-oświatowemu z FWP, który jest bardzo miłym chłopcem i bardzo

go lubię, ale na takiego instruktora tak się nadaje, jak ja na baletnicę. Dostaję listy od Romka, bardzo głupie i nie takie, jakich się spodziewałam. Najwięcej przebywam teraz ze Zdzichem i Dzidą, jego żoną. Uczę się grać w ping-ponga i całkiem nieźle mi idzie. Na przyjazd Romka cieszę się tylko tyle, że będę miała z kim tańczyć. Jest tu teraz jeden warszawiak, Stasio P. Prawdziwy typ Wiecha, andrus z Czerniakowa. Bezczelny, wesoły, nic sobie z niczego nie robi, jest naszym pajacem i wszyscy go bardzo lubią. Dałam mu jedno moje zdjęcie i napisałam mu taki wierszyk:

W Ymce jest miło i wesoło  
Gdy Stasio-figlarz kręci się wokoło.  
Gdy słońce świeci, gdy deszczyk pada,  
Stasio tylko wciąż gada i gada.  
Wszyscy naraz wesoło się śmieją,  
Gdy Stasio z Danusią w ping-ponga się leją.  
Zwariowanemu Stasiowi, Agnieszka.

Stasio wszystkim ten wierszyk pokazał i wszyscy się z niego śmieli. Stasiowi też się podobał, tylko szybko skreślił to „zwariowanemu” i powiedział mi, że sama jestem „zwariowana Agnieszka”. Było z tego dużo śmiechu, ale ja się wcale nie obraziłam. W ogóle bardzo lubię naszego Stasia.

Rozbiłam sobie oba kolana. Jedno, po długich perypetiach, jakoś mi się zagoiło, a to drugie nie bardzo chce, bo nie mam czym robić opatrunków i ślimaczy mi się, ale to nic groźnego.

## 18 IX 1949, niedziela

Jestem teraz bardzo zła i mam po temu powody: rano poszłam z Jurkiem do kościoła. Ponieważ Jurek jest dla mnie coraz miłszy, więc całkiem się nie zdziwiłam, gdy mi zaproponował pójście z nim na mecz. Właściwie to on mnie się pytał, czy idę. Powiedziałam, że nie wiem, chociaż doskonale wiedziałam, że nie, bo nie mam biletów. On powiedział wtedy, że on sam też nie pójdzie, bo ma dwa bilety i bez towarzystwa nie chce iść. I wtedy właśnie, nie wiem dlaczego, bo przecież zawsze tylko czekałam na okazję pójścia gdzieś z Jurkiem, powiedziałam mu, żeby poszedł z Jankiem. Powiedział mi swoje zdanie o Janku, które już kilkakrotnie słyszałam, ale i nie powtórzył swojej prośby. Wracałam z kościoła z Alinką Rudolfówną i znowu się nie przyłączyłam do obu Jurków. Mam wrażenie, że Jurek jest na mnie trochę zły, ale dobrze to maskuje, a ja jestem wściekła, że się tak wygłupiłam. W dodatku potem byłam na rowerach z Madzią i widziałam Jurka z... Jankiem, gdy szli razem do Ymki (dobrze, że nie na mecz). To mnie dobiło. Dopiero teraz zauważyłam, że nawet Jurek umie się ładnie mścić. Gdy szli, udałam, że ich nie widzę, i przyspieszyłam tempo. Nie lubię takich niejasnych sytuacji. Ciekawa jestem, co będzie dzisiaj na siatce (gramy o 15-tej), i taka strasznie zła, jak tylko mogę być po zrobieniu takiego głupstwa. Przecież tyle czasu marzyłam o tym, żeby Jurkowi na mnie zależało i żeby przestał szaleć na punkcie Jasia, a teraz robię się „niezdobyta” i tracę na tym!

Nie graliśmy prawie wcale. Najpierw nie mieliśmy składów i piłki, potem mieliśmy piłkę, to zaczął padać deszcz. Z początku staraliśmy się grać w czasie deszczu, ale gdy się rozpadał, stało się to niemożliwym [!]. Jeszcze przedtem przyjechał na chwilę Janek z Andrzejem. Janek zachowywał się tak, jakby mnie w ogóle nie widział i nie znał, za co ja mu odpłaciłam dyskretną wzajemnością. Nie przejmuję się tym zbytnio, a właściwie jest mi nawet na rękę odsunięcie się Janka, bo zdołałam umieścić moje uczucia w Jurku, ale ciekawi mnie przyczyna jego zachowania. Jeśli znalazł sobie jakąś sympatię, to jeszcze nie powód do nieodzywania się i zachowywania w ten sposób wobec mnie, chyba że dla zmanifestowania swojej wierności. Jest to niemożliwe, bo przecież domniemana sympatia nie jest przy nas obecna, więc co? Jestem po prostu „pożerana ciekawością”.

Teraz leje deszcz. Taki ulewny, gwałtowny i smutny, jesienny deszcz. Jesień!! To dla mnie uosobienie smutku i końca, końca czegoś dobrego, kochanego, co już się nigdy nie powtórzy. Tak się skończyło lato 1947 roku i przyszedł nieudany rok '48, tak się kończy rok '49; rok grania w siatkę i chodzenia na plażę z przemiłymi



zadanka, to dostanę dwóję, a ty jesteś taki mądry, wszechwiedzący, taki cudowny chemik, to co to dla ciebie znaczy takie jedno zadanie? Wiedziałam, że mu było bardzo głupio, i dałam mu spokój, ale mam satysfakcję. Najmilsze na koniec: była we wtorek klasówka z chemii, dzisiaj chemik oddał i dostałam 5. Ja mam z chemii 5!!!! Z polskiego Pani Różańska powiedziała mi, że mam 5, a postawiła mi w zeszycie 4+ (w dzienniku u niej mam 5). Ale się już tym nie martwię, bo strasznie się cieszę z chemii. Dziewczynki krzywią się, że ja ściągалаm od Bysiny, a ona ma 4+, a ja 5, i są na mnie (niektóre) złe. O mało się nie popłakałam i powstał mi taki projekt, żeby jutro na chemii powiedzieć, że moja praca nie jest samodzielna, i żeby mi zmniejszył stopień. Teraz już ochłonęłam i chyba tego nie zrobię. Ale może! Ewunia dostała 2+. Ja mam jej zeszyt, bo ona nie brała udziału w akademii i pojechała do domu. Nie wiem, jak ona na to zareaguje. Z łaciny dostałam 4. Z fizyki pani Piotrowska nie oddała jeszcze klasówek, ale chyba mam 2+ albo 3-. Nie martwię się na zapas. Jutro robimy sobie „bibę” – Ewa, Zosia Skurzanka (bardzo ją lubię), Jadźka i ja. Musi być przyjemnie! Teraz jadę do miary futra i po buty zimowe do szewca. Tam spotkam się z Mamą. Wszystko już mam, tylko zimy jak nie ma, tak nie ma!

### 31 III 1950, piątek

W środę było tak:

Na piątej lekcji odbyło się otwarte zebranie ZMP dla wszystkich uczennic (prócz ósmych klas). Eliza, Baśka P[awłak] i ja siedziałyśmy w kącie na ziemi, a Ewa na ławce i czytała książkę, więc się nie wygłupiała, tylko kazała się zasłaniać i nie kłaść się jej na nogach. Za to nasza trójka wygłupiała się przeraźliwie. Nawet dziewczynki z jedenastych klas z nas się śmiały. Ja się ciągle kładłam na ziemi, wstawałam i kręciłam. Gadałyśmy cały czas straszne głupstwa i to prawie głośno. Dyrektorka upominała się o ciszę, ale na próżno. Elizie i mnie Baśka spięła warkoczki spinką. Eliza o tym nie wiedziała i zaczęła się szarpać, i mówiła: „Oj, puśćcie mnie, dajcie mi spokój”. Mnie to strasznie bolało i dopiero jak krzyknęłam, to zobaczyła, co się dzieje i się strasznie śmiałyśmy. Przez ten czas minął referat (naturalnie, Kronman {z XIh}) i dyskusja nudna jak flaki z olejem, i ze dwa przemówienia, tylko nie wiem, czyje, i ten ktoś, kto prowadził zebranie, zaproponował przegłosowanie rezolucji (o „trzydniówkach”, pracy itp.). Dużo dziewczynek wstrzymało się (nikt nie był przeciw), ale tylko Baśka i ja podniosłyśmy ręce, a moją tylko zauważono i kazano mi powiedzieć, dlaczego. Zgłupiałam zupełnie. W dodatku byłam spięta z Elizą i szamotałam się z 15 sekund (15 wieków), zanim wstałam. Wyobrażam sobie mój wygląd wtedy – wstaje z ziemi czupiradło, na głowie siano (w głowie też), usta rozdziawione (bo nie – otwarte) i nie wie, co gadać. W końcu palnęłam głupstwo: „Jak ja mam się tłumaczyć, to już wolę głosować za rezolucją”.

Po zebraniu – sodoma, gomora, grom z jasnego nieba... Najpierw Pani Pyczoł (od gimnastyki) kazała mnie i Elizie zostać i palnęła ognistą mówkę z wściekłością u niej niespotykaną na temat naszego zachowania, które (o zgrozo!!!) widziała, i powiedziała, że „wyciągnie należyte konsekwencje, daleko idące konsekwencje”. Jeszcze nie zdążyłam ochłonąć, kiedy Elka Czerw powiedziała mi, że mnie z powodu tego głosowania „zawieszają” w ZMP. Najgorzej denerwowało mnie to, że dziewczynki myślały, że ja miałam grandę za głosowanie (od Pyczołowej), a nie 2 osobne awantury. Poszłyśmy z Elizą i Baśką (ona poszła się dobrowolnie przyznać) do naszego anioła opiekuńczego – Pani Piotrowskiej. Bardzo ją to zasmuciło. Najgorzej [!], naturalnie, ja, bo one nie są zorganizowane, a po drugie – głosowały. Straszne było to, że ja właściwie nie wiedziałam, d l a c z e g o n i e głosowałam. Dlaczego? Wymyślałam stopy argumentów – były po prostu śmieszne. Dyskutowałyśmy dość długo i swobodnie (gabinet fizyczny był i dosłownie, i w przenośni zamknięty). Wysłałam „pocieszona” i nawet nie starałam się czegoś załatwić, bo cała moja nadzieja była w tym, że będę o 3-iej grała w siatkę. Przyszłam do domu i... załamałam się psychicznie: słupki były złamane. To już trzeci raz! Boże! Jakaż ogromna jest złośliwość ludzka! Załamałam się tak, jak już dawno pod wpływem jakichś wewnętrznych, mądrzejszych lub głupszych depresji się nie załamywałam. W czwartek czułam się strasznie – byłam po prostu chora. Było mi albo zimno, albo gorąco. W szkole nie byłam, bo była komunია święta. Byłam ze szkołą i dziewczynki patrzyły na mnie jak na „zbląkaną owieczkę w kościele” (na rekolekcje nie chodziłam). Dlaczego? Dużo argumentów, a żaden prawdziwy. Na kazaniu nie zostałam i tak. Zrobiłam to tylko dlatego, że czułam się tak strasznie, że ledwo się mogłam do domu dowlec. Potem byłam w ogrodzie i na boisku z dziećmi i trochę mi było lepiej. Potem pojechałam z Tatusiem do Warszawy i włóczyliśmy się bardzo długo. Wróciłam i znowu nie miałam siły na nic. Położyłam się i czytałam.

Na trening nie poszłam, naturalnie najpierw było mi strasznie zimno, a wieczorem gorąco. Wykapałam się i wzięłam aspirynę.

Dzisiaj rano czułam się dobrze, ale dziewczynki powiedziały w szkole, że wyglądam jak trup – nieboszczyk. Nawet Pani Różańska to zauważyła. Wczoraj miałam gorączkę, ale to głupstwo. Dzisiaj Pani Piotrowska powiedziała mi, że z ZMP mnie wyrzuca, a ze szkoły „na razie” nie. A potem od razu zaczęła mi mówić o korepetycjach z Leną Golańską. Ona jest kochana!

Wszystkie zetempówki z naszej klasy były dziś wezwane do Pani Dyrektorki. Powiedziała, że my byliśmy z o b o w i ą z a n e do głosowania (!!!!!). Podobno było to mówione 2 razy (żadna z nas nie słyszała i Dyrektorka powiedziała, że widocznie tak nie uważaliśmy, że nie słyszałyśmy). Powiedziała, że moja postawa to drwiny z organizacji, do której należę, i że to już nie pierwszy raz. To jest jej zdanie, a poza tym moją sprawą w kwestii formalnej zajmuje się Zarząd. Naturalnie, wynik jest już z góry przesądzony.

Nie jestem już „załamana”. Na Wiosnę nie można w ogóle być w depresji, a co dopiero w takiej z realnych powodów i w dodatku z t a k i c h powodów!! Eliza jest zdania, że „po co się przejmować”, a ja już teraz myślę o tym bardzo mało i mówię sobie „śmiej się, pajacu”! Jeśli chodzi o słupki, to będą nowe (drewniane), które się będzie wsadzać w betonowe dziury, a potem zabierać do domu. Ten pomysł pod[d]ał jeden tatusia znajomy, właściciel sklepu sportowego. To nawet nie będzie wcale drogie, tylko że cementu nie można dostać – tylko państwowe budowy. Dzisiaj po szkole bardzo dużo rozmawiałam z Elizą, a nawet ona była u mnie i pożyczyła książki. Wspaniale się z nią rozmawia. Nie można jej w ogóle zrobić na złość. Nawet jak się śmieję z jej miłości do Komendantki lub do jej przyjaciółki Jolki, ona nie czuje się dotknięta, bo wie, że ja nie chcę jej zrobić przykrości. Ta jej Jolka jest „oryginalna i głęboka”, nadaje się do zeszłego stulecia (z małymi przeróbkami). Na ogół nieprzeciętnie miła dziewczynka. Można do niej czuć antypatię lub ją lubić, a nie można nienawidzić. Ja jej po prostu nie znam, a ona mnie nie lubi. Gdyby nie Eliza, toby mnie obchodziła tyle, ile [!] „dziura w cudzym płocie”, a tak to mnie obchodzi o tyle, że ten płot graniczy z moim ogrodem. Jola jest podobna do Elizy, chociaż kiedyś się bardzo zmieni, a Eliza zostanie zawsze taka, jaką [!] jest, a nawet będzie taką, jaką chce być. Swoją drogą, nie ma dużo tak dobranych przyjaciółek, jak one dwie. To nie Czarska, tylko coś strasznie miłego i prawdziwszego. Jola się trochę manieruje (bo jest w klasie IXb – same drugoroczne), a to do niej bardzo nie pasuje. Eliza musi się nią zajmować i wpływać na nią, bo po co ma się dziewczyna zmienić i to w dodatku na gorsze? Takie „okazy” bywają rzadko i niepotrzebnie nie powinny zanikać. Eliza też się za bardzo zbliża do tych „panienek”. To naprawdę nic ciekawego ani miłego. Gdyby Eliza się zdemoralizowała, przestałaby być Elizą. Ania z Zielonego Wzgórza posiadała ideały zamiast zmysłów; Eliza ma zmysły dlatego, że nie jest postacią z powieści, tylko żywą dziewczynką, ale te zmysły są „wyidealizowane”. A w ogóle, to ona jest złota dziewczyna. Mogłabym mnóstwo o niej pisać, ale i tak bym nie wyczerpała tematu albo nie wyraziła tego tak, jak myślę. Ręka mnie już boli.

Na ZMP gwizdzę, bo jest Wiosna, Wiosna!!!! Na rowerze dzisiaj nigdzie nie byłam, bo wiem, że po prostu nie miałabym siły nigdzie daleko pojechać, a ja nie lubię „nie szaleć” i kręcić się po wale albo Kępie. Do Ady nie pojechałam, ale ona chyba już wyzdrowiała. Jutro pójdę na trening (opuściłam 2 – środa, czwartek), choćby nie wiem co się miało stać.

Mam książkę Dell *Dom Tajemnic*. Naturalnie zaraz jak napiszę, biorę się do czytania. Jutro... Klasówka z matematyki (geometria i algebra razem). „Wesoło było na moim pogrzebie”...

## 4 IV, wtorek

W sobotę był prima aprilis. Nikt mi w szkole ani w domu nie robił „kawałów”, bo byłam zdenerwowana „sprawą”. Na pauzie w piątek członkini ZMP z naszej klasy były u Pani Dyrektorki w gabinecie. Mówiła niedużo, ale bardzo groźnie, a o mnie powiedziała, że „to są drwiny z organizacji, do której należę”, i że „to już nie pierwszy raz”. Zakończyła tym, że „zadecyduje zarząd”. W sobotę właśnie było zebranie. Moja sprawa trwała około półtorej godziny. Postanowiłam być dziecinna i bezradna. Nawet się popłakałam, więc byłam prawie szczerą, tylko że udawałam trochę głupszą, niż jestem. Zdania Koła o mnie były bardzo podzielone. Broniły mnie jedne, a dogryzały drugie, z M[arią] Ćwiertnią z XIh na czele. W końcu „skazali” mnie na 3 miesiące próby (ale nie na zawieszenie!).

Muszę się stać aktywistką i bardzo uważać na to, co mówię. Jadzia i Mara od razu mnie zaczęły pilnować. Jak wyszłam z zebrania, to Pani Komendantka pytała się [!], co ze mną zrobili. Dziewczynki mi o tym powiedziały i było mi bardzo przyjemnie, że ona się o mnie pytała, chociaż się jej dają na lekcjach-zbiórkach porządnie we znaki. Po tym zebraniu siedziałam trochę z Komendantką (panną Stefcia – po mojemu) w świetlicy. Była tam Eliza i kółko wielbicielki komendantki. Po językach (ok. 6-tej) znowu wpadłam do niej na chwilę. Ona jest biedna, ale taka jakaś jasna i świetlista! Pytałam jej się [!], kiedy ona się uczy, a ona nie mogła znaleźć odpowiedzi – prawie cały dzień w szkole, po południu, o ile czas pozwala – wykłady, a nauka?

W poniedziałek też z nią rozmawiałam, bo byłam o piątej w świetlicy. Mam tam w poniedziałki lekcje z dziećmi z powszechnej szkoły. Doszłam do wniosku, że Panna Stefcia zasługuje na sympatię i uznanie ze strony uczennic, szacunek ze strony znajomych i prawdziwą miłość mężczyzny. Przede wszystkim można i trzeba mieć do niej zaufanie. Ona jest za jasna i prosta, żeby ją uwielbiać i to w ten sposób, jak to czynią nasze dziewczynki. Nie mówię tu o Elizie, bo ona to zupełnie inna sprawa – ona rzeczywiście Komendantkę kocha, ale o kilku dziewczynkach z IXb, które ją swoim uczuciem ubóstwienia wprost zamęczają. Ona jest przecież jeszcze młoda i na pewno nieprzyjemnie jest jej przebywać tak ciągle w skórze bóstwa. Ja sama ją bardzo lubię i podziwiam. Wcale się Elizie nie dziwię, chociaż może trochę realniej od niej patrzę na życie. W Komendantce można się zakochać. Eliza potrafi być w tej sytuacji subtelna i delikatna, i woli męczyć się sama niż Komendantkę, za to zakochanie „tamtych” może spowodować tylko śmiech i podważa tzw. autorytet Panny Stefci. Bardzo lubię tak o Komendantce mówić, chociaż to brzmi trochę jak o pokojówce.

Na prima aprilis ktoś powiesił zawiadomienie z podpisem Komendantki o cichym alarmie o 10<sup>20</sup>. Zeszłyśmy wszystkie na dół, a Komendantki wcale nie było. Jak przyszła do szkoły, to się śmiała początkowo, a potem usiłowała zrobić poważną minę z powodu skopiowanego podpisu, ale jej się to w ogóle nie udało.

W niedzielę trochę się nudziłam, ale niedużo, bo Wiosna nigdy nie pozwala się nudzić. Byłam w kościele na dziewiątą i, jako że od czwartku do niedzieli nie miałam żadnego grzechu, chciałam przystąpić do komunii św. Okazało się to marzeniem ściętej głowy, bo w Niedzielę Palmową trzeba od razu stać przed ołtarzem, a ja zapomniałam. Teraz muszę iść jeszcze raz przed świętami do spowiedzi, bo już nagrzeszyłam, a w Wielkanoc muszę przystąpić do komunii św.

Po kościele byłam na spacerze na rowerze. To było istne szaleństwo! Nie pojechałam daleko, ale i tak „upiłam się wiatrem”. W niedzielę był niezwykle dzień: pogoda piękna i wichura jak w czasie burzy. Jadąc, miałam wiatr na przemian z boku, z tyłu i z przodu, i czułam się jak miotana we wszystkich kierunkach. Opony w zetknięciu z pracującym powietrzem syczały. Najgorzej, a właściwie tylko najbardziej dziko, było na zakręcie przed lotniskiem – z jednej strony Wisła, a z drugiej rozległe pola. Wiatr wył i świstał, jak w czasie burzy. Wisła pieniała się białą i niegroźnie. Fale z mieniącymi się załamanyymi promieniami światła uderzały o wysunięte kamienne cypły, na których niezmordowani rybacy amatorzy ledwie trzymali się na nogach. Od wody szedł przeraźliwie jasny blask odbitych promieni słonecznych w rozkołysanej wodzie. Niebo na horyzontach było białe, jak gdyby piana z Wisły i mgła łączyły się tam z błękitem. Całe niebo było jak rozcieńczone niebieskie mleko, a chmury jak łabędzie o postrzępionych piórach, pływające szybko i przybierające fantastyczne kształty. Koło „mojej wyspy”, która znajduje się na Wiśle tam, gdzie wpada do niej śluza goławska, woda była ciemnogrnatowa i spokojna, krańcowo spokojna w porównaniu z rozmigotaną powierzchnią Wisły.

Ta wyprawa, chociaż krótka, była bardzo ciekawa i bardzo miła. Miała „szaleńczy pierwiastek”. Spotkała mnie w tym dniu jedna radość: Mały Jurek powiedział, że oni mają zamiar zrobić słupki i już coś kombinują. Poprosiłam go więc do nas i wraz z Tatusiem ułożyli sobie, jak to ma wyglądać, i podzielili się robotą. Tatuś już dzisiaj kupił „śledzie” do linek i niedługo będzie już wszystko gotowe i nie ma mowy o żadnym „krzyżyku” na boisku. Jurek R[ajski] i cała paczka kupili już piłkę. Byli dzisiaj u mnie pokazać ją, ale nie było mnie w domu, bo poszłam z Ewunią do kina. Byłyśmy na kolorowych bajkach rysunkowych (radzieckich). Bardzo nam się podobało! Nie widziałam Walta Disneya, ale te filmy są chyba tak samo ładne, o ile nie ładniejsze. W takich wypadkach „oddaję co cesarskie cesarzowi, a co boskie – Bogu”. Jutro też może pójdziemy do kina – Ewa ma przyjechać do mnie o 14-tej,

o ile do tego czasu nie pojedzie do babci do Garwolina. Dzisiaj już chcieliśmy się umówić na dworcu, kiedy przypomniała mi się babcia z Garwolina i powiedziałam, że wolę przeczekać chwile niepewności w domu niż na dworcu. Jutro się wybieramy na nowy polski film pt. *Dom na pustkowiu*.

Wczoraj byłam u Ady. Jest bardzo smutna i zmartwiona, bo nie puścili jej na mistrzostwa Polski młodzików do Poznania za to, że nie trenowała 3 dni z powodu zaziębienia. W Poznaniu miał być Karol, ciotka z rowerem, tysiące innych przyjemności i... wicemistrzostwo Polski w kieszeni, bo Badura zrobiła czas 1 min 29,7 sek., który Adunia zrobiłaby z łatwością, bez treningu. W zamian za to wszystko Jagódce pozostały porządki świąteczne, pranie i szorowanie we wstrętnej atmosferze brudu, garnków, pomyj i pary. Strasznie mi jej żal, kiedy się tak męczy w pełni poczucia tego, że tam, za oknami, gdzieś jest piękna i czysta Wiosna, i ludzie, którzy mają piękne i czyste mieszkania, dobre, kochające Mamy i rowery gotowe w każdej chwili do dyspozycji. Jagódki mama jest dobra i kochająca ją na swój sposób, ale nie tak jakoś „bez reszty”, jak inne dobre Mamy. Jagódki Mama pracuje, ale za to wymaga odrobienia wszystkich najcięższych prac domowych. Mama jej jest bez tzw. polotu i nie rozumie piętnastoletniej duszyczki o częstych wzniosłych porywach, niedających zamknąć się w czterech ścianach kuchenki ani w suchym programie klasy ósmej. A nawet książki „polykane” przez Jagódkę z niebywałą szybkością bywają tu często źle widziane. Pojęcie Boga i wiary jest jakieś „średniowieczne”. Stwierdzenie Jagódki, że pod względem porządków święta są dla niej takie same jak dzień powszedni, dało jej Mamie powód do narzekania, że Ada staje się bezbożna, że bluźni, bo taka wielka uroczystość to... itp., itd. Jej Tatuś jest miły, ale nie bardzo inteligentny i niedoceniający drzemiących w Adzie zdolności, może nawet talentów, niedostrzegający duchowej i moralnej wartości własnego dziecka. Jagódka jest, w porównaniu z Mietkiem, o wiele, o całe niebo inteligentniejsza i wyższa od niego duchem. Biedna Jagódka! Trudno będzie jej się wygrzebać z tego środowiska, tym trudniej, o ile bardziej się do niego przyzwyczai. Bo ona nie będzie przechodziła ze „złego” do „dobrego”, tylko będzie sobie to „dobre” zdobywać. Żeby się tylko po drodze nie załamała, bo wtedy zostanie niczym!

Dzisiaj nie byłam na treningu, bo się jeszcze źle czuję, ale już w czwartek pójdę na pewno. Chciałabym, żeby, chociaż to już święta za pasem, wszyscy byli na basenie. Ludwik podobno jest bardzo ciężko chory, ma 41° gorączki i nikogo do niego nie dopuszczają. Stan jest podobno bardzo poważny. Strasznie mi go żal. On może jest i śmieszny, ale nie jest zły, a zresztą, gdy[by] nawet był zły i w obliczu nieszczęścia, to i tak byłoby mi go żal. Ada jest na niego zła, bo się pogniwali. Ja nawet na jej miejscu nie umiałabym być teraz na niego zła.

Dzisiaj był ostatni dzień szkoły. Myślałam, że będę odpowiadała z chemii, ale jakoś nie. Bałam się strasznie. W czwartek po świętach będzie klasówka z chemii, a w sobotę z łaciny. Brrrr... Ta klasówka z matematyki poszła mi o tyle źle, że zrobiłam bardzo mało, ale wszystko dobrze. Akurat na ndst+. Nie powiem, żebym to sobie wzięła specjalnie do serca. Wszystkiemu winna Wiosna i te radosne święta. Oprócz Wielkiego Piątku bardzo lubię Wielkanoc, o ile jest pogoda. Najlepiej [!] lubię chodzić wtedy na długie spacery albo grać w siatkówkę, albo siedzieć na tarasie w Ymce nad Wisłą lub w domu i czytać. Jak nie ma pogody, to święta są nudne i „niewiosenne”, i to jest straszne! Tak było 2 lata temu i myślałam wtedy, że się wścieknę. W zeszłym roku grałam cały czas w siatkówkę i było bardzo przyjemnie. W tym roku chciałabym bardzo iść na rezurekcję (nigdy jeszcze nie byłam). Szkoda tylko, że nie mam z kim iść. Krysia (nasza młodociana gosposia) wyjedzie na te 2 dni do domu i tam będzie „szaleć”. Dzisiaj byliśmy razem po zakupy dodatków do ciasta. Będziemy piekły w czwartek. Będę miała potrójną robotę – upiec ciasto, nauczyć Krysie piec szarlotkę i zrobić mazurek. Ale jakoś tam pójdzie! Ona zresztą trochę umie i pomoże mi tak „po wiejsku”.

Eliza też się bardzo cieszy na święta. U niej będzie bardzo tradycyjnie. U Ewy Babci jeszcze bardziej. Tam podobno ksiądz przychodzi święcić stół! U nas będzie nowocześnie, spokojnie i bardzo po prostu. Nie wiem, jak się zachowają dziadek i mama, bo to pierwsze święta bez Babuni. Nawet ani razu nie byliśmy na Jej grobie! O Boże, jak pomyślę, jaka jest ogromna niewdzięczność ludzka, to aż mi się płakać chce: taki Anioł jak Babunia, dla wszystkich miał czas, a my dla Niej, Świętej, nie mamy. To się nazywa dopiero grzech, świętokradztwo. Babunia na pewno chce, żeby Ją odwiedzać, chociaż tu, na ziemi



W sobotę była u mnie Ewunia, a po południu byłam z Mamą na mieście. Na boisku cała paczka grała w siatkówkę, a ja wróciłam dopiero pod koniec (byłam jeszcze na Legii, bo miało się odbyć zebranie CWKS-u w sprawie Wójcickiej, ale, nie wiem dlaczego, nie odbyło się i straciłam siatkę).

Stała się rzecz bardzo nieprzyjemna: dostałam wezwanie na wyjazd na obóz PZP w Żerkowie (Ania i Ela też jeszcze mają jechać, bo jest tam więcej miejsc, niż się poprzednio spodziewano, że będzie). Pogodziłam się już z myślą, że nie pojedę, ale ta wiadomość sprawiła mi wielką przyjemność. A tymczasem Pani Marysia Wójcicka obraziła się na PZP i na cały świat, i powiedziała, że z nami nie pojedzie, więc Pan Olek i cały zarząd postanowił, że my bez „opieki” nie możemy jechać. Jeszcze kilku chłopców tam pojedzie (m.in. Ludwik), a my nie. Ala, Ada i Ola, które już pojechały, zostały tam same; pewnie się przyłączą do żeńskiej grupy jakiegoś innego warszawskiego klubu.

Gdyby mnie nie wysłali, to nie złościłoby mnie to, ale tak jestem trochę zła, bo niby z jakiej racji Pani Maria utrudnia trenowanie dziewczynkom ze swojego klubu (wtedy ze Szczecinem i teraz znowu – dlatego miało być to zebranie).

Dostałam list od Elizy i zaraz jej odpisałam, i dałam jej adres Ewie. Jest na kolonii w Zakopanem i strasznie źle jej tam jest – towarzystwo nieodpowiednie, nie ma żadnej „bratniej duszy”, deszcz pada i w ogóle źle jest. Pilnują ich tam jak w więzieniu, a góry oglądają jak ptaki z klatki. Na dodatek u niej, w Ząbkach, jest Kazik, no i w ogóle dom i ludzie kochani i znający ją dobrze.

Byłyśmy z Ewunią w niedzielę w szpitalu u Pani Piotrowskiej. To jednak prawda, że ją przerwucili do szkoły do Pruszkowa. Ona mówi, że będzie tam miała mniej pracy, a po operacji będzie się czuła zmęczona i wyczerpana. Byłyśmy tam koło godziny i rozmawiałyśmy o szkole, nauce itd. Pani Piotrowska była bardzo kochana i taka „swoja”, jak zawsze zresztą. Mówiłyśmy jej o naszych szkolnych grzechach i wyszłyśmy zadowolone i takie „lepsze”.

Był projekt, żeby wyjechać teraz na 2–3 dni do Karpacza (tatus i ja), ale tatuś jest bardzo chory (ma znowu ciężkie ataki) i nie może nawet dużo chodzić. Już trzeci dzień nie był nawet w Bristolu. Byliśmy wczoraj wieczorem na bardzo długim spacerze Wąłem Miedzeszyńskim i wróciliśmy, jak [!] już było całkiem ciemno. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, i o tatusia strasznym dzieciństwie spędzonym w ciemnych, brudnych kamieniczkach Lwowa i Wiednia, w otoczeniu chorych żydowskich dzieci, pod opieką macochy śpiewaczki, z bratem przyrodnym – gruzlikiem. Cudem wyszedł tatuś z tego zdrowy i cały, z całym zapasem doświadczeń i jako piętnastoletni chłopiec znający ludzi i świat aż za dobrze, grając w knajpach Galicji i Austrii.

Muzyka spowodowała to, że tatuś, jako dziewiętnastoletni chłopiec i popularny pianista, jeździł po całej Europie, nie wiedząc, co robić z pieniędzmi; muzyka pozwoliła mu wyleczyć się ze strasznej choroby skóry odziedziczonej po ojcu (tatus jako mały chłopiec i nawet później miał twarz w strasznych, ropiejących krostach); muzyka wreszcie pozwoliła mu mścić się na ludziach za to wszystko, co od nich ucierpiał [!] jako biedny, chory chłopiec, zawsze sam, nikomu niepotrzebny i przez nikogo niekochany, z którym rodzice nie pozwalali bawić się swoim dzieciom, a dzieci nie pozwalały mu dotykać swoich rzeczy.

Nieraz aż dziwnym [!] się wydaje, że zdobywszy potem pieniądze, tatuś zaczął się kształcić i czytać, a nie szaleć i gubić się, jak wielu innych młodych ludzi zrobiłoby na jego miejscu. Z brzydkiego, chorego i biednego stał się nagle pięknym, młodym i bogatym mężczyzną, przed którym życie i świat stały otworem. Życie mogłoby dla tatusia być (potem) bardzo szczęśliwe i ciekawe, gdyby nie tragiczna pogoń za byle jakim obywatelstwem. Obywatel monarchii austro-węgierskiej – jak śmiesznie to brzmi. A jednak dużo było takich ludzi jak ojciec, którzy w 1921 roku i później szukali sobie i nie mogli znaleźć nowej ojczyzny, zewsząd wyganiani jak bezdomne psy.

Znałam już bardzo dawno [tę] historię, a dopiero po wczorajszej rozmowie zdobyłam się na zapisanie w chaotycznym skrócie części z ciekawego i tylko miejscami godnego do [!] pozazdroszczenia życia mego tatusia.

## 8 VII 1950, sobota

Właściwie nic się nie dzieje ani duchowo, ani fizycznie, ale żyję bardzo przyjemnie w miłym oczekiwaniu wyjazdu. Jedziemy w poniedziałek, bo rodzice Elki mają jeszcze sporo niewykończonej pracy biurowej i muszą uprządkowywać wspólnie książki.

Teraz, jadąc gdzieś w okolice granicy, trzeba mieć skierowanie z miejsca pracy (pod postacią tzw. wczasów) albo

zezwoleń ze starostwa na wyjazd do danej (tylko jednej, skąd [!] można następnie robić liczne wycieczki) miejscowości. Jest przy tym mnóstwo formalności. Załatwialiśmy je wczoraj, rozbijając się po całej Warszawie (tatuś, Ela i ja) taksówkami – ze starostwa na Siedleckiej do Urzędu Ewidencji Ludności na Chmielnej, stamtąd do Mamy po legitymację i potem znowu na Siedlecką (Praga). Państwo Kloskowie załatwiali to dzisiaj i Ela z Mamusią przyszły rano do nas. Pani Kloska wahała się między Szklarską, Karpaczem i ewentualnie Jelenią Górą (!), ze względu na zdrowie męża. Było to, naturalnie, jedynie usiłowanie uciszenia głosu sumienia, gdyż Pan Kloska w ogóle nie powinien tam jechać, a jak już się decyduje, to nie gra roli kilkumetrowa różnica poziomów. Tym i wieloma [innymi] raczej słusznymi argumentami Tatuś i ja przekonaliśmy Panią Kloska do Karpacza.

Ciekawa jestem, jak się będę czuła, mieszkając tam „na dole”. Będzie mi się to wydawało strasznie nisko w porównaniu z wysokogórskim schroniskiem YMCA lub Samotnią. Mieszkając w Ymce, nigdy nie czułam chęci „zejścia” na dół (w celu zamieszkania tam), chociaż stamtąd było wszędzie tak daleko. Dzięki tym spacerom zeszczuplałam trochę i teraz mam wątplą nadzieję, że mi po Karpaczu trochę „spadnie”. Byłam dziś z Mamą i ciocią Basią na mieście – na lodach i po sprawunki. Byłyśmy także u [!] mani- i pedicure. Mam pierwszy raz polakierowane (bardzo jasno) paznokcie i czuję się z tym bardzo dobrze, tylko boję się, że po pierwszym treningu mi „poodskakuje”.

Napisałam list do Ewuni, a ona, chociaż miała napisać pierwsza i wyjechała już w poniedziałek, nie daje żadnego znaku życia. W poniedziałek wyjadę i jeżeli do tego czasu listu nie otrzymam, będę w Karpaczu jeszcze dłużej na niego czekała, aż mi z domu przyślą. Brak mi bardzo Ewuni, jeżeli [!] o niej myślę. Wspomnienie Ewcyka nie „odchodzi” ode mnie z dniem 23–24 czerwca, tak jak odchodzi wspomnienie szkoły, o ile [!] jestem zajęta czy myślę o Jerzym. Przeciwnie – Ewa to przecież nie tylko szkolna, koleżeńska „przyjaźń”. Ewa za bardzo zna wszystkie strony mojego życia – od skomplikowanej podszewki począwszy, a skończywszy na różnych zewnętrznych humorach – żebym miała ją łączyć ze szkołą.

Kocham Ewunię i chciałabym z nią wszędzie pojechać i być. Chciałabym z Ewą pojechać do Austrii, pokazać jej St. Pölten i Rotenau, i zwiedzić z nią Wiedeń, a potem pojechać do Paryża i w ogóle udać się w podróż po Europie, a potem po całym świecie. Naturalnie, w takiej podróży nie byłybyśmy same, tylko z kimś (może nawet z całym towarzystwem lub z ludźmi od nas starszymi, nawet [z] rodzicami, o ile to byłoby teraz). Takie sprawy, jak cło, przepustki, wizy itp., załatwialiby lub załatwiałby ten ktoś, a my byśmy tylko patrzyły, w i d z i a ły i czuły dookoła siebie piękno Świata i Życia.

Nie uważam tej podróży za niebezpieczną, pomimo sytuacji politycznej świata. Grożąca (wg opinii niektórych ludzi i niektórych radiostacji) wojna jest dla mnie równoznaczna ze śmiercią i nie mogę inaczej jak [!] o śmierci mówić lub myśleć o tej katastrofie. Raczej w ogóle nie mogę myśleć o tym, bo czuję się w takich chwilach kontemplacji bliska obłądzenia ze Strachu przed Śmiercią i niezrozumienia; zaczynam pojmować, jak mało wiedzącym [!] jest rozum ludzki, jakim pyłkiem jest człowiek wobec Wszechświata, powoli dochodzę do logicznych, pierwotnych wniosków, do których doszli już ci ludzie, którzy pierwsi ze Strachu i niezrozumienia stworzyli kult Boga lub Bogów. O ile moje „poglądy” dotychczasowe nie zmieniają się (w co bardzo wątpię), to wyobrażam sobie ten piekielny lęk z chwilą [!], gdy będę umierała. Jeśli umierając, będę starym człowiekiem, to może (jednak nie wierzę w to) będę zmęczona życiem, będę pragnęła śmierci. Nie przypuszczam jednak, aby to było u mnie możliwe. Gdy myślę o okupacji, powstaniu i obozie, wydaje mi się, że teraz bałabym się dosłownie tysiąc razy więcej, po prostu sensem życia w takiej sytuacji byłby Strach, straszny dławiący Strach – przeżyć, przeżyć jeszcze jeden dzień, jedną noc, żyć!!! Już jako mała dziewczynka, jeszcze przed powstaniem (choć wtedy miałam jeszcze naiwną, niezachwianą wiarę), myślałam o śmierci i mówiłam sobie w myśli: ja umrę, mnie nie będzie, mnie, mnie, mnie – mnie nie będzie. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej nie rozumiałam, czy właśnie rozumiałam, o co chodzi, i bałam się, bałam się tak strasznie – prawie połowę tego, co teraz się boję. Całe szczęście, że nie zawsze myślę o tym i nie zawsze z takim „wczuciem” się. Teraz np. czuję się spokojnie i opisuję jedynie wrażenia doznane kiedy indziej – gdybyśmy rzeczywiście teraz m y ś l a ła o Śmierci, to w ogóle nie mogłabym tych bredni pisać.

Teraz, niedawno zaczął mi się krystalizować pewien, na razie stały, pogląd na kościół i religię, jeśli chodzi o liturgiczną i bardziej ludzką jej stronę. O stopniowej zmianie mojego „zdania” na ten temat mogłabym napisać całą rozprawę, na razie ograniczę się do podania mego obecnego „poglądu” (?).

Myślę, że Bóg istnieje jako symbol w umysłach ludzkich tego wszystkiego, co jest zastraszające i niezrozumiałe, grożące ich osobistemu bezpieczeństwu (jak właśnie Śmierć – najwyższe nieszczęście). Wziąwszy pod uwagę, że starożytni niezrozumiałe dla nich działania sił przyrody motywowali działaniami sił nadprzyrodzonych i przy pomocy odrobiny fantazji tworzyli bóstwa, które po stopniowym Zrozumieniu odrzucali – można uważać tę tezę za prawdopodobną, a obecnie, poza materializmem, niemalże jedyną.

Różni ludzie, jak Jezus Chrystus, Mahomet czy Budda i ich o wiele mniej wartościowi poprzednicy, starali się wykorzystać to uczucie wiary tworzące się w duszach i sercach ludzkich (często dla dobra i uszlachetnienia ludzkości), otaczając je stosowną do warunków legendą. Cele były mniej (wróżby, oszukaństwa, „czary”) lub więcej (religia chrześcijańska, mahometańska) szlachetne. Drogi do osiągnięcia tych celów były także bardzo różne.

Patrząc na historię Kościoła katolickiego, widzę liczne, bardzo liczne zasługi i mniej liczne, lecz za to nie mniej ważne, często nieuniknione wady i błędy. Wypływają one najczęściej z samej natury ludzkiej. Mam tu na myśli np. wojny krzyżowe czy inkwizycję, w czasie których jedni ludzie odbierali życie (największy skarb) drugim [!], aby tylko „przypodobać” się Bogu. Nie wszystko tu można ostro i z miejsca krytykować, gdyż poziom umysłowy tych ludzi nie pozwalał na inne umotywowanie swych gorących, mniej lub więcej szczerych uczuć. Od najdawniejszych czasów Kościół (a przedtem kapłani w starych świątyniach) brał udział w życiu politycznym i jego przedstawiciele wychowywali młodzież i całe społeczeństwo tak, jak im to było na rękę. Różne były pobudki postępowania i różne postępowanie.

Na przestrzeni wieków różnie i w różnych krajach wzmagало się i opadało znaczenie świeckie Kościoła. Nie będę tu pisać urywków z historii Kościoła, ponieważ i tak byłoby to niepełne i kompromitowałoby to moje, względnie duże wiadomości z tego tematu. W sumie, uważam, że Kościół potrzebny był, i częściowo jest, do regulowania, że się tak wyrażę, „moralnych stosunków”. Mam tu na myśli to, że Kościół przyczynił się do hamowania zwierzęcych instynktów ludzkich. Np. w średniowieczu myśl o obrazowo przedstawionym „piekle” powstrzymywała człowieka od zbrodni, na jakie było go stać. Ludzie inteligentni i wykształceni rozumieją i znają różnicę między dobrem a złem, i – myślę – że potrafią (jeśli chcą) zachować moralność (w wyższym tego słowa – bardzo względnego – znaczeniu).

Nie uważam za stosowne pozbawiania „liturgicznej” wiary ludzi niewykształconych, których poziom umysłowy potrzebuje zewnętrznego, jaskrawego „hamulca” dla swoich postępów.

Aby dojść do takich wniosków, warto i trzeba zgłębić historię Kościoła, dyskutować i czytać uważnie. W sumie, jestem teraz, tzw. popularnie, człowiekiem niewierzącym, a właściwie raczej deistką niż ateistką.

Niepokoi mnie jedno: naturalnie, że Kościół (ten dobry, prawdziwy Kościół, a nie ten, którego przedstawiciele należą do band itp.), szczególnie Kościół ewangelicki, oddaje wielką przysługę ludzkości; daje dogmat, który pozwala żyć, nie głowiąc się nad różnymi problemami itp. Czasami jednak wydaje mi się to takim oszukiwaniem samych siebie. Podobnie jak dawniej nie starano [się] zaradzić szerzącym się chorobom, oddając się na łaskę bogów, Boga, losu czy Przeznaczenia, tak jeszcze teraz niektórzy nie starają się zgłębić tajemnicy życia i śmierci, gdyż wierzą (według wygodnego dogmatu), że czeka ich szczęśliwe życie po śmierci. Czasami niewiele by brakowało do tego, by pewne jednostki z założonymi rękami siedziały, czekając na śmierć. Czasami religia wprost ogłupia. Niezrywanie z dogmatami jeszcze w XX wieku wydaje mi się czasem brakiem odwagi. Ale jednak, biorąc ogólnie, jeszcze za wcześnie jest; za mało kulturalna i cywilizowana jest ludzkość, aby, nie wierząc, nie mordowano się nawzajem. Nie należy zapominać, że kult bóstw przyczynił się do podniesienia kultury i cywilizacji (sztuki piękne, literatura, architektura itp.).

Reasumując, uważam: ludzkość dzieli się na materialistów, ateistów (tzn. niekoniecznie trzeba być komunistą, będąc ateistą lub deistą), deistów – tzw. niedowiarków, i ludzi wierzących. Śmieszny ten podział obejmuje także jednostki „wykolejone”, czyli zbrodniarzy, morderców itp. Sama jestem deistką. Myślę, że Kościół powinien nadal istnieć i działać (nie wtrącając się jednak do spraw państwa), tworząc ludzi wartościowych i szlachetnych, lecz nie dewotów i kleryków [!], zakłamanych i oszukujących.

A więc już teraz wiem – jestem deistką. Już prawie od dwóch lat męczyłam się nad zagadnieniem wiary, początkowo rozdzielając religię liturgiczną od prawdziwej, szczerzej wiary, potem nienawidząc kleru, czując jednak pewien konwencjonalny lęk, myśląc na ten temat. Jak już wspomniałam, różne były chwilowe tezy. Muszę teraz

pamiętać, że puściłam się na szerokie wody – brak mi jednego, wielkiego hamulca wewnętrznego. Myślę i czuję o wiele więcej, niż tu napisałam. Muszę teraz dobrze pamiętać o tym, by nie nadużyć tej swobody, tak jakby to zrobił człowiek średniowieczny – półcywilizowany. „Żyje się tylko raz”, „Z życia należy wyciągnąć maksimum przyjemności” – obiecujące zwroty. Pozostało mi jednak sumienie. Będę, naturalnie, grzeszyć w pojęciu Kościoła, a nawet względnej moralności, ale nie we wszystkich wypadkach. Życie jest przecież Szczęściem – nie będę więc zatruwała go w miarę możliwości innym. Piękna jest zasada: „Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło”. Nie zawsze będę się do niej stosowała (czasem będę „czyniła”, co komuś niemiło, o ile [!] będę bardzo potrzebowała), ale będę się o to starała. Nie jestem i nie będę jednak człowiekiem z zasadami. „Życie jest już takie i nie my będziemy je potępiać”.

Cieszę się i jestem szczęśliwa, że żyję i kocham, kocham Jerzego, bez którego nie osiągnę pełni szczęścia (naturalnie przed chwilą napisałam, że życie jest szczęściem – tu mam na myśli to drugie, prawdziwe szczęście, którego się szuka w życiu). Nie ma dwóch szczęść, ale już jestem taka głupia i nie umiem inaczej tego wyrazić: Jerzy i ta nieszczęsna miłość są składnikami życia i szczęścia, jakie ono daje.

